Dodatek do Nru 199. „Dziennika Krakowskiego“

z dnia 30 sierpnia 1896.

Jak się piszą wiersze.

Pytasz, o pani, jak piszą wiersze?
Nic łatwiejszego, a oto recepta:
Aby coś pisać, warunki najpierwsze,
Trza umieć pisać, mieć w głowie koncepta,
Posiadać papier, atrament i pióro;
Jednak przezorniej będzie oślą skórą
Zastąpić papier, bo często się zdarza,
Że tęgość skóry lichego pisarza
Unieśmiertelnia, jeśli przetrwa wieki:
Tak właśnie słyną Rzymianie i Greki.
Potem się bierze rozum na tortury,
Zkąd zacząć pisać, czy z dołu czy z góry?
Jużci że z góry, bo tylko Chińczyki
Swe bazgraniny stawiają jak tyki
Z dołu do góry. Następnie potrzeba
Szukać natchnienia u zenitu nieba,
Lecz zwykle sufit pokoju wystarczy.
Po nim wzrok błąka jak po niebios tarczy,
A gdy tam zoczysz pajęczyny sieci,
To wyobraźnia wnet ci je zamieni
Na szare chmurki płynące w przestrzeni,
Gdzie pająk orłem wśród mglistej zamieci
Jak czarna plamka — buja tak wysoko,
Że blednie, z szarą zlewa się powłoką,
Już się roztopił — nikt go nie dostrzeże.
Więc gdy natchnienie myśli ci rozniecí
I władzę twórczą płomieniem rozpali,
Chlastaj w te pędy piórem po papierze,
Raz w bieg puszczone już samo poleci,
A wyobraźnia powiedzie je dalej.
Lecz według z dawna przyjętej maksymy,
Trzeba wiersz stroić w pięknobrzmiące rymy,
Trzeba słów dźwięcznych jak hejnał zarania,
Muzyki, rytmu — stosownie do treści.
Wszystko to przęsłem połączysz wiązania,
Aby harmonią brzmiało w twej powieści,
Niby śpiew syren, albo w wieczór letni,
Dalekie echo melodyjnej fletni.
Zostaje wreszcie essencya utworu;
Przedmiot i forma — lecz to rzecz artysty
Uobrazować treść swego wyboru
W kształt estetyczny, w styl gładki i czysty —
Tu umiejętność stanowi ruch cały:
Łamać w ciąg myśli osnowę przedmiotu,
Myśli kształtować w piękne ideały,
Wlać w nie prąd życia, dać skrzydła do lotu,
I zapleść w całość misternej budowy.
A przedewszystkiem starać się wypada
Rzeźbić szczegóły zewnętrznej pokrowy
Bo to poezyi techniczna ogłada.
W końcu by wszystkie zaspokoić gusta,
Zanim się pióro z inkaustu wychlusta,
Grammatoukom trzeba zatkać gęby.
Jezierski Feliks, filolog nie łada,
Językoznawca, co sam stanie za stu,
Pisząc o mowie słowiańskiej, powiada
Że „szumi męsko jak odwieczne dęby,
„Gdy inne mowy są poświstem chwastu,
„Który za lekkim zefiru podmuchem
„Szlepie się, miota, jak fałdy sukienki,
„Gnie się i łamie, a za każdym ruchem,
„Tylko niewieście, cieńkie tworzy dźwięki.“
Hum.. filologom Jezierski wbił klina,
Więc niechaj oni dochodzą rozumem
Gdzie świt się kończy, a gdzie szum zaczyna...
Tej szkole trzeba imponować szumem!
Zaś ksiądz Choiński, leksykolog znany,
Żali się gorzko, że język tak czysty
Wójków i Skargów z epoki Zygmunta,
Jest dziś we wszystkiem prawie zapomniany,
Choć tak dobitny, jasny i strzelisty,
Zaś teraźniejszy nie wart kłaków funta:
I pawim jękiem żałośnie drze wargi,
Że niema dzisiaj ni Wójka, ni Skargi!
Może ma słuszność, bo z czyjej porady,
Mickiewicz wyrzekł, pisząc swoje *Dziady*:
„Kobieto! marny puchu! ty wietrzna istoto!“
Gdy mową Skargi mógł był rzec z prostotą:
„Niewiasto! nędzny kwapiu! chorągiewko z dachu!“
Tem Choińskiego byłby trzymał w szachu.
Boć przecie wszystkich trzeba zadowolić,
Tamtemu szumieć, temu skargą bolec.
A tym sposobem łatwo dojść do mety,
Wszyscy cię mianem okrzyczą poety,
Co miłość własną lubo ci połechce,
Że hołd uznania masz dla twego płodu...
Więc któż tej sławy dobić się nie zechce?
Prawda, że pierwej można umrzeć z głodu!

A. Zab.

Niecierpliwość tłumu.

NOWELLA

przez **Villiersa de l'Isle Adama.**

Wielka brama Sparty — przyparta z obu stron do muru, niby tarcza do piersi wojownika — rozwartą była szeroko przed wyżyną Taygetu.

Piaszczysty schyłek góry czerwienił się zimnemi blaskami zachodzącego po nad pierwszemi mrozami słońca, odbijając obraz hekatomby, poświęcanej pośród brzemiennego grozą wieczoru.

Tam, w głębi poruszał się tłum, objęty krwawą łuną nocnej gwiazdy. Odblaski żelaza, wozy, ostrza pik, mieniły się w niej świetlanym połyskiem. Jedynie oczy tłumu były ponure; wysyłał on uporczywe i ostre jak miecz wejrzenia ku wierzchołkowi góry, zkąd nadejść miała wieść wielkiej doniosłości.

Pozawczoraj drużyna, złożona z trzystu rycerzy, opuściła gród Heraklesa. Uwieńczeni kwiatami odeszli na gody bojowe. Ci, których oczekiwały brzegi Styksu, po raz ostatni przygładzili włosy w świątyni Likurga. Następnie, podnosząc tarczę w górę, uderzyli w nie mieczami, wobec entuzyastycznych oklasków niewiast i zniknęli w promieniach zorzy, śpiewając pieśń Tyrteusza. Teraz zapewne wysokie trawy wąwozu obejmują ich obnażone nogi, jak gdyby ziemia, w której stają obronie, chciała popieścić swych synów przed przyjęciem ich do kochającego łona.

Z rana, chrzest broni, przyniesiony przez wiatr i odgłosy okrzyków tryumfalnych, zdawały się potwierdzać opowiadania oszalałych z radości pasterzy.

Persowie cofnęli się po dwakroć w sromotnej porażce, pozostawiając dziesięć tysięcy trupów po za sobą. Lokryda widywała już podobne zwycięztwa. Tessalja powstaje, nawet Teby budzą się, rozgrzane przykładem. Ateny wysyłają na pomoc legjony, uzbrajają się pod wodzą Milcyadesa — siedm tysięcy żołnierzy powiększa falangę lacedemońską.

Ale oto nagle pośród hymnów chwały i modłów dziękczynnych w świątyni Dyany, pięciu Eforów, po wysłuchaniu przybyłych świeżo posłańców, spojrzało po sobie trwożnym wzrokiem. Senat wydał natychmiast rozkaz uzbrojenia miasta.

Ponury cień rozproszył całą radość. Nie wierzono już opowiadaniom pasterzy. Radosne wieści zostały w jednej chwili zapomniane, niby proste baśnie dziecinne.

Ramiona augurów, oświetlone płomieniem trójnoga, wznosiły się wysoko, wyzywając potęgi piekielne. Słowa krótkie, urywane, rozchodziły się w przeraźliwym szepcie.

Zawezwano dziewice.

W ich obecności będzie wymawiaiem imię — zdrajcy. Długie ich szaty przy zejściu ze schodów portyku muskają rozłożonych na ziemi w pijackim szale Ilotów.

Daje się słyszeć wieść okropna.

Nie strzeżone w Focydzie przejście zostało odkrytem przed nieprzyjacielem. Ktoś sprzedał ziemię Hellady, ktoś wydał Kserksesowi na pastwę własną rodzicielkę. I wojownicy perscy, na których czołach lśniły się złote szyszaki satrapów, opanowywali boską krainę, deptali niegodnemi stopami matkę tylu bohaterów.

Żegnajcie świątynie, przybytki przodków i wy, święte równiny! Przyjdą tu oni, zniewieściali, wybladli, wybierać będą z pośród cór Lacedomonii niewolnice!...

Przerażenie wzmógł widok Taygetu, ujrzanego przy wstąpieniu na obronne wały.

Wicher skowyczał w skalistych czeluściach, jęczał w uginających się z łoskotem jodłach, których nagie gałęzie podobne były do włosów głów, szamotanych agonią.

Gorgona biegała pośród obłoków, a tłum, oblany purpurą pożogi, gromadził się zwartą masą, podziwiając posępną rozpacz ziemi wobec pogróżki niebios.

Nie trzeba było przyspieszać biegu ich krwi motywami oskarżenia... Piekło nienawiści i pomsty w ich piersiach!...

Niecierpliwość, zawiedzione oczekiwania, niepewność co do rozmiarów klęski, potęgują śmiertelny niepokój. Czarną wydaje im się przyszłość, bliską — ostateczna zagłada.

Niebawem pierwsze czoło armii ukaże się na horyzoncie. Niektórym zdaje się, że widzą już na niebie odblaski hełmów perskich rycerzy, a nawet tryumfalny wóz Kserksesa.

Uzbrojeni, z pociskami w ręku, szykują się na obronnych stanowiskach. Dziewice rozpalają ogniska dla przygotowania smoły, weterani, przybrani w zbroje, wyliczają liczbę nieprzyjaciół, których zgładzą przed wydaniem ostatniego tchnienia.

Sparta nie podda się nawet w razie oblężenia! Obliczają ilość żywności, kobietom przykazują bronić się od hańby samobójstwem. Zasięgają rad u dymiących tu i owdzie na ofiacę wnętrzności.

Ponieważ noc ma przejść na wałach w oczekiwaniu spodziewanej zasadzki ze strony persów, Nogakles, kuchmistz gwardyi, dygnitarz kulinarny, rozpoczął uroczyście przygotowanie pożywienia publicznego.

Stojąc obok szerokiej kadzi, porusza poważnie ciężkim tłokiem kamiennym i mieszając z roztargnieniem ziarna w solonem mleku, spogląda na Tayget wzrokiem ponurym.

Czekają....

Najpotworniejsze zarzuty podnoszą się przeciw walczącym. Rozpacz tłumu nie waha się przed potwarzą, a bracia tych, którzy mieli skazać na wygnanie Arystydesa, Temistoklesa, Milcyadesa, za niepokój odpłacają wściekłym niemal gniewem.

Jedynie zgrzybiałe staruszki potrząsają dumnie głowami. One pewne swoich dzieci, zachowują spokój lwic, którym od piersi odebrano niemowlęta.

Nagła ciemność okrywa niebiosa, a nie są to cienie nocy; nie, to olbrzymi korowód kruków wyłania się z głębin północy, przelatuje po nad Spartą z okrzykami okrutnej radości, zalega całą przestrzeń, zasłania światłość, czepia się wszystkich gałęzi świętych drzew, otaczających szczyty Taygetu. Tu złowieszcze ptaki zasiadają nieruchomie, z dziobem zwróconym ku północy i z roziskrzonym wzrokiem.

Zagrzmiały niby pioruny setki przekleństw, miotanych w stronę drapieżników, a za przekleństwami poszybował grad kamieni....

Nic to nie pomaga!

Zwiastuny nieszczęścia pozostają nieruchomie na gałęziach, jak gdyby niebiańska woń poległych bohaterów przykuwała ich do miejsca; nie opuszczają gałęzi, uginających się pod ich ciężarem.

Matki zadrżały z przerażenia na ów widok.

Teraz niepokój szerzy się pośród dziewic. Rozdano im poświęcone miecze, od wieków zawieszone we wnętrzu świątyń.

— Dla kogo te miecze? — pytaja. A ich łagodne spojrzenia przechodzą z blasków migocących ostrzy, na zimne oczy tych, którzy je podają. Uśmiechają się do dziewic rycerze — pozostawiając je w niepewności co do ofiar. — Dowiedzą się w ostatniej chwili, broń ma służyć do przeszycia ich czystego łona....

Nagle dzieci wydały głuchy okrzyk. Oczy ich dostrzegły jakiś punkcik w oddali.

Tam, na zaróżowionym jeszcze szczycie opustoszałej góry, jakiś człowiek, gnany wichrem, zbiegał z wysokości, pędząc w stronę miasta.

Wszystkie wejrzenia kierują się ku niemu.

Nadbiega z głową opuszczoną, z ręką opartą o kij gałęzisty — widocznie w drodze gwoli bezpieczeństwa ułamany; — kij ten ułatwiał mu drogę ku bramom Sparty.

W chwili, gdy przestępuje oświetloną ostatniemi promieniami słońca pochyłość, oczom tłumu ukazuje się płaszcz, zarzucony aż do stóp... Człowiek musiał upadać w drodze, bo płaszcz jego, zarówno jak kij, obryzgane błotem. Nie żołnierz to pewnie, bo nie połyskuje na nim tarcza.

Głuche milczenie wita zbliżające się zjawisko.

Z jakiegoż przybytku grozy i zniszczenia uciekał on w sposób podobny?

Zwiastun to chyba hańby, upadku, spodlenia!

— Podobny bieg nie jest godnym mężczyzny, rycerza! Czego żąda?

— Schronienia? A zatem ściganym być musi! — Przez kogo? — Przez nieprzyjaciela? — Już, już!...

Uragan wściekłości i wstydu targa ich rozbrykaną myślą, zapominają o obecności dziewic, których nagła bladość przechodzi barwą lilie.

Nazwisko, rzucone śród ogólnego przerazenia i ohydy, przenika sykiem złowieszczym powietrze.

To spartanin! Jeden z trzystu!...

Poznano go. On! To był on! Wojownik, który zrzucił zbroję!... Ale czemu? Czy w popłochu ucieczki? Uciekano więc? A inni? Czy i oni biegli za nim, owi „nieustraszeni?...“

Pot śmiertelnego strachu oblewa czoło, drgawki konwulsyjnego niepokoju wykrzywiają twarze.

Widok tego człowieka równa się widokowi całej porażki.

Ach! I czemuż dłużej ukrywać przed sobą ogrom nieszczęścia? Uciekli! Wszyscy!... Biegną za nim! Ukażą się za chwilę... dopędzani przez perskich wojowników...

Przykładając rękę do oczu, kuchmistrz woła, iż spostrzega ich już w mrocznej oddali....

Rozdzierający jęk przedziera się przez szemrania tłumów. Wychodzi on z piersi starca i wyniosłej postaci niewieściej. Oboje ukrywają twarze w dłoniach, wymawiając w osłupieniu okropne wyrazy:

— Mój syn!

Uragan przekleństw zakotłował! Pięści wznoszą się groźnie ku dezerterowi. Wołają, choć wiedzą, że głos nie przedrze dzielącej ich od niego odległości.

— Mylisz się „bohaterze“... Nie tu plac bitwy!

— Nie biegnij tak prędko! Oszczędzaj swe cenne siły!...

— Czy persowie grubo płacą za tarcze i miecze?

— Baczność! Prochy Pelopsa, Heraklesa, Polluksa, pod twemi niegodnemi stopy. Przekleństwo tobie! Z grobu wyprowadzisz zdjętych zgorszeniem przodków....

— Merkury użyczył ci swych skrzydeł. Na Styksa! zyskałbyś pierwszą nagrodę na Olympiadach!

Żołnierz, nic nie słysząc, biegł, zda się bez tchu w stronę miasta.

A ponieważ błogi spokój zdawał się spoczywać na jego twarzy, ironiczne zaczepki zmieniły się w grad przekleństw najzjadliwszych.

Zdawało się, że z ust tłumu z sykiem wybiegały najwstrętniejsze gady. Dziewice słuchały nieznanych obelg z przerażeniem.

A kapłani:

— Nikczemniku, obryzgany błotem!... Tyś nie całował swej ziemi świętej, aleś ją gryzł!...

Zbliża się ku bramie.

— Ach, na potęgi piekielne. Nie wejdziesz!

Tysiące ramion wzniosło się ku górze.

— Precz. — Śmierć cię czeka! — Albo ruszaj precz! Nie chcemy twej krwi niegodnej na naszej ziemi.

— Do boju! Powracaj!...

— Wzdrygnij się na myśl o duchach bohaterów, które na ciebie spoglądaja.

— Persowie dadzą ci wieńce i liry. Śpiesz urozmaicić ich festyny, niewolniku!

Po tych słowach dziewice Lacedemonii pochyliły blade czoła i ściskając w ręku miecze, noszone przez królów wolnych i potężnych, wylewały w cichości łzy żalu i upokorzenia.

Oblewając bohaterskiemi łzami rękojeści szpad, przyciskały do serca zabójcze narzędzia. Teraz zrozumiały ich przeznaczenie i przygotowały się na poniesienie śmierci na ołtarzu niewinności.

Nagle jedna z nich, chwiejąca się i blada przeszła na skraj wału; usunięto się zewsząd dla utorowania jej drogi.

Była to oblubienica, przyszła małżonka zbiega.

— Nie patrz tam... Semeis — upominały towarzyszki.

Ale ona z groźnem jak piorun wejrzeniem podniosła z ziemi kamień i rzuciła nim w nikczemnika.

Kamień trafił w skroń, wyprowadzając falę krwi na blade czoło człowieka, który zatrzymał się i podniósł wzrok do góry. Dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Głowa wzniesiona w górę nieludzkim niemal wysiłkiem, pochyliła się ku piersi.

Zdawał się szamotać w mękach agonii.

Dzieci spoglądały na niego z szeroko roztwartemi oczyma, matki szeptały coś z cicha, ukazując co chwila chylącą się ku ziemi postać.

Majestatyczny i wojowniczy kucharz przerwał swoją pracę i oderwał się od olbrzymiej warząchwi. Coś w rodzaju świętego gniewu zniewoliło go do zapomnienia o obowiązkach zawodowych. Oddalił się od kadzi i poszedł na brzeg wału. Tu skupiając wszystkie siły i nadymając policzki, weteran splunął w stronę zbiega.

A wicher przechodzący poniósł ślinę oburzenia na czoło nędznika.

Zabrzmiał chór pochwalny, łączący się w jeden akord uznania dla energicznego objawu publicznej wzgardy.

Byli pomszczeni.

Oparty w zadumie o kij żołnierz, spoglądał wciąż na otwarte bramy miasta...

Nagle na znak wodza, ciężka brama zawarta ze złowieszczym zgrzytem swe wrota. Przed tą widomą zaporą, która wydalała go na wieki z rodzinnego miasta, zbieg padł na ziemię, z pobladłą nagle twarzą trupa.

W tejże chwili słońce skryło się po za obłoki. Kruki rzuciły się żarłoczne na dogorywającego.

Przyklaskiwano im teraz, a ich zbrodniczy korowód zasłaniał przestępcę przed zniewagami ludzkiego tłumu.

A później przyszła rosa wieczorna i uwolniła z pyłu szaty jego.

Nad ranem z człowieka tego nie pozostało nic, krom porozrzucanych kości....

W ten sposób umarł — z duszą upojona jedyną chwałą, której zazdroszczą nawet bogowie — z oczyma zamkniętemi nabożnie z obawy, aby widok rzeczywistości nie skałał żywionego w głębi serca ideału Sparty, — rycerz wysłany przez *trzystu* na zwiastuna wiekopomnego bohaterstwa...

W ten sposób zginął rycerz za krew przelaną, za śmiertelne rany, obrany posłem chwały bojowników, którzy rzucając do wód Termopilu tarczę i miecz jego, chcieli, aby przed wydaniem ostatniego tchnienia napełnił ziemię spartańską odgłosami męczeństwa podniosłego.

W ten sposób zginął, znieważony przez tych, za których krew przelewał — *wysłannik Leonidasa.*

Z drukarni Narodowej F. K. Pobudkiewicza w Krakowie.